

Nie tylko ogień spada z nieba

Michał Rogowski

Zagrzmiało gdzieś na wschodzie. Burza jest jeszcze daleko, mam czas. W tej chwili interesuje mnie inny dźwięk. Jest coraz bliżej. Słyszę go wyraźnie i zaraz powinien wejść w pole widzenia.

– No dalej, chodź do mnie. – Wyjmuję strzałę i opieram ją na cięciwie. Nie naciągam jeszcze, jest za wcześnie. Jeśli zbyt długo będę trzymał napięty łuk, ręce szybko opadną z sił. Czekam.

Mija chwila i zza ruin wschodniej baszty wystrzeliwuje ciemny kształt. Wydaje charakterystyczne, klekoczące odgłosy. Każdy, kto słyszał ten dźwięk i przeżył, nigdy nie pomyli go z niczym innym.

– Mam cię. – Napinam łuk i wypuszczam strzałę. Trafiony! Grot przebił cienkie poszycie. Zaraz... To ustrojstwo wciąż leci! – No dalej, spadnij! Spadnij!

Przez chwilę mam wrażenie, że nic się nie dzieje. Może jednak spudłowałem? Maszyna podąża wciąż tym samym kursem.

Podrywam już rękę do kołczanu, gdy nagle Popielnik wpada w korkociąg. Klekoczące dźwięki stają się nieregularne, urywane. Wybiegam z kryjówki i patrzę, jak pikuje. Uderza w osmolone pozostałości po stajniach.

Ruszam zadowolony w stronę miejsca, gdzie spadł. Część nadpalonych krokwi złamała się i przygniotła wrak. Muszę je odrzucić, zanim się do niego dobiorę. Wyciągam ostrożnie jedną po drugiej tak, żeby reszta chybotliwej konstrukcji nie spadła mi na głowę.

Grzmi coraz bliżej, ale wciąż mam czas. Zresztą, odrobina deszczu nikomu jeszcze nie zaszkodziła. Zajmuje to chwilę, zanim udaje mi się odstąpić bok maszyny.

– Coś tu jest nie tak... – Opieram się stopą o wystającą deskę, żeby przyjrzeć się dziobowej części kadłuba. Oglądam ją przez chwilę, gdy nagle dociera do mnie. – On nie ma dmuchawy!

Wszystkie Popielniki, jakie do tej pory widziałem, miały na dziobie metalową dmuchawę, przez którą mogły pluć ogniem. Ten ma gładki kadłub i żadnych rur po bokach. Widzę tylko mały otwór o poszarpanych krawędziach, który zrobiła moja strzała.

Przytrzymuję się jednego ze skrzydeł i wchodzę na rozbitą maszynę. Zbiornik ognistego płynu powinien być w środkowej części. Oczywiście, gdyby to był zwykły Popielnik. Pokrywa zbiornika jest na szczęście tam, gdzie powinna.

– Nie zawieźdź mnie, przeklęty rupieciu. – Sięgam po nóż i próbuję nim podważyć wykonaną z dziwnego tworzywa osłonę. Chwila zmagania i pokrywa wyskakuje ze swojego miejsca. Co u licha?

Gnomka. W miejscu zbiornika z ognistym płynem zamontowane jest dziwne siedzisko, a na nim widzę najprawdziwszą gnomkę. Nie może być mowy o pomyłce. Nikt inny nie mógłby być tak drobnej postury. Nie rusza się, ale widzę, że oddycha. Po jej czole spływa krew, a z nogi sterczy ułamana strzała.

– Gnomka... – Czuję falę gniewu, która wzbiera we mnie szybko i wypełnia całe wnętrze.

Pojawienie się jej rasy przewróciło znany mi świat do góry nogami i zmieniło życie mojego ludu w piekło. Miasta, wsie i pola strawił ogień z nieba, a ci co przeżyli pożogę, od tamtej pory muszą się ukrywać.

Gnomka... – Powtarzam to słowo w myślach jak mantrę. Ostrze mojego noża jest już przy jej chudej szyi. Nie wiem nawet, kiedy je tam przystawiłem. Tak niewiele brakuje, wystarczy drobny ruch ręki...

Znowu uderza grom. Tym razem znacznie bliżej. Dziwne, bo na niebie nie widać błysków. Czyżby? Nie, to niemożliwe! Wybiegam przed zgliszczą i spoglądam w niebo. Ogromny, szary kształt powoli wynurza się z chmur. Hardatiański statek powietrzny.

Nigdy nie zapomnę jego masywnej, podłużnej sylwetki przecinającej niebo. Gdy kilka lat temu na jego pokładzie przybyły gnomy, wyglądał niemal identycznie. Imperium Hardat dodało na burcie swoje godło znacznie później, już po zawarciu sojuszu z tymi przeklętymi karłami. Statek zbliża się coraz szybciej. Mam niewiele czasu.

Podrywam się i zaczynam biec w stronę ruin wschodniej baszty. Ukryta w podłodze kłapa unosi się z łatwością. Wrzucam łuk i kołczan do ciemnego otworu. Powietrzna bestia jest już blisko i zniża wyraźnie pułap. Muszę się śpieszyć. Zniknąć, zanim mnie zauważą. Dlaczego jeszcze nie wskakuję? Czemu się waham?

Zamykam nad głową kłapę niemal w ostatniej chwili. Podłoga drży pod stopami, gdy statek powietrzny zrzuca kolejne bomby. Ze szczelin na suficie sypie się pył, który pokrywa włosy szarym nalotem. Mimo grubej warstwy ziemi ogradzającej mnie od powierzchni, doskonale słyszę stłumione dźwięki kolejnych eksplozji, obracających w nicłość ruiny i tak zniszczonego już grodu.

Gnomka jest dwukrotnie mniejsza ode mnie, ale przeniesienie jej przez wąski tunel sprawia nie lada kłopot. Byłoby łatwiej, gdyby była przytomna. Lub martwa.

Drgania maleją stopniowo. Statek powietrzny oddala się coraz bardziej. Kiedy docieram do wspólnej sali nie słychać już wybuchów. Jestem tak zmęczony, że muszę oprzeć się o ścianę.

– Arjuk! – Słyszę wołającego mnie Wafnira. Podbiega do mnie i chwyta dłońią za ramię. – Co tam się dzieje?

– Hardatiański okręt – tłumaczę, otrzepując kurz z włosów i ubrania. – Przybył ze wschodu. Zdążyłem uciec tuż przed tym, jak zaczął zrzucać bomby.

– Statek powietrzny? Tutaj? – Wafnir wydaje się bardziej zaciekawiony, niż wystraszony.

Podczas wojny widziałem, jak ten potężnie zbudowany mąż jednym cięciem miecza przeciął w pół hardatiańskiego sipaha razem z wierzchowcem. To było jednak dawno, kiedy bitwy toczyło się stojąc naprzeciw wrogów i patrząc im w oczy. Zanim zdobyli statek i nastał czas ognia. Dziś, chociaż twarz starego wojownika pokryły już zmarszczki, wciąż czuję tę dawną siłę, gdy ściska coraz mocniej moje ramię.

– Urwiesz mi rękę, Wafnir.

– Wybacz, przyjacielu. Co on tu może robić? Od dawna nie przelatywał w tej okolicy.

– To nie koniec wieści. – Wskazuję brodą na wylot korytarza. – Zobacz, co spadło z nieba.

– Bogowie... – Wafnir odwraca nieprzytomną gnomkę na plecy i przygląda się jej twarzy. – Czy ja dobrze widzę?

– Była w Popielniku, który udało mi się zestrzelić.

– W Popielniku? – Oczy Wafnira rozszerzają się ze zdumienia.

– Siedziała w schowku na ognisty płyn. Kiedy zobaczyłem nadlatujący okręt, pomyślałem... Właściwie nie wiem, co pomyślałem. Powinienem być podejrząć jej gardło!

– Nie! – Wafnir wstaje i kładzie mi dłonie na ramionach. – Dobrze zrobiłeś. Ona może się nam przydać.

– Przydać do czego? – Parskam śmiechem, w którym więcej jest gniewu niż radości. – To przez nią chowamy się pod ziemią, a nasze miasta spłonęły! Przez nią i jej podobnych!

– Ciszej! – Wafnir próbuje mnie uspokoić, ale mój wybuch zdążył już przyciągnąć uwagę zebranych w sali ludzi. Słyszę pomruki odbijające się od ścian i skierowane w naszą stronę zaciekawione spojrzenia. – Zabierzmy ją stąd. Zobaczymy, co powie, gdy się obudzi. Zwiąż ją mocno.

Biorę leżący przy ścianie kawałek sznura i zaczynam pętać ręce i nogi więźnia, a w tym samym czasie Wafnir uspokaja kilku młodzików, którzy na widok gnomki sięgnęli po miecze. Nie dziwię się im.

Kiedy opuszczamy salę, wokół nas zbiera się coraz większy tłum. Atmosfera robi się tak napięta, że można by ją ciąć nożem. Chwytam za pęta i przrzucam nieprzytomną gnomkę przez ramię. Idę przed siebie, nie zważając na zagradzające mi drogę, wykrzywione gniewem twarze. Wafnir cieszy się tu szacunkiem i nikt nie podważy jego decyzji. Jedyne co mogą, to kląć za naszymi plecami. Nie winię ich.

Z ciemnego korytarza wychodzimy do niedużej salki, w której nad ogniem opieka się kawałek zająca. Dopiero, gdy siadam zaczyna uchodzić ze mnie napięcie. Nie pierwszy raz udaje mi się uniknąć śmierci, ale ogarnia mnie wtedy to dziwne uczucie. Każdy kęs mięsa wydaje się wtedy smaczniejszy, a woda mniej mętna niż zwykle. Ciepło lampy grzeje przyjemnie. Suche ubranie na grzbiecie jest równie dobre, jak królewskie szaty.

Gnomka co jakiś czas wierci się niespokojnie i coś mamrocze. W pierwszej chwili nie zauważam, że odzyskuje przytomność. Dopiero na dźwięk jej głosu chwytam gwałtownie za miecz.

– Gdzie... Gdzie jestem? – mówi bardzo cicho. To szok i osłabienie. Straciła trochę krwi.

– Jesteś bezpieczna. Przynajmniej na razie. – Kładę broń na kolanach, ale nie wypuszczam jej z dłoni. – Leż spokojnie i nie próbuj się uwolnić, gnomko.

– Czemu jestem związana? Co się stało? – Zaczyna szarpać się w panice.

– Leż spokojnie! Bo ci przyłożę, jeśli będę musiał.

Spojrzała na mnie i nagle przestała się wiercić. Nie wiem, czy to przez władczy ton mojego głosu, czy widok uniesionej klingi w mojej dłoni.

– Spadłaś. Wyciągnąłem cię z wraku, zanim zrzuciliście bomby.

– Ta strzała, która przebiła mi nogę... To byłeś ty!

– Masz szczęście, że nie przebiła ci głowy! Milcz, bo poderżnę ci gardło!

– Przez ciebie się rozbiłam!

– Dosyć! – Przysuwam sztych miecza do jej gardła i czuję, jak w moich żyłach buzuje krew. Gnomka zamilkła i patrzy na mnie przerażona, nieruchoma niczym posąg. Może, jeśli ją zabiję, cały ten koszmar się skończy? Może to jedno pchnięcie uratuje nas wszystkich?

– Co to za hałasy? – Przygarbiony Wafnir wynurza się z korytarza. – Po tych wrzaskach wnioskuje, że nasz jeniec odzyskał nie tylko przytomność. Czerwone policzki, napięte sznury... Szybko wrócił ci wigor, mała gnomko.

Nic nie mówi, ale w jego spojrzeniu widzę wszystko. Niechętnie, ale opuszczam miecz.

– Wypuście mnie! Nic nie rozumiecie! – Gnomka szarpie się znowu.

– Właśnie po to tu jesteśmy. – Wafnir rozsiada się na podłodze obok mnie. – Żeby zrozumieć. Kim jesteś? Co robiłaś w Popielniku?

Gnomka przygląda nam się przez chwilę, jakby starała się ocenić swoje położenie.

– Mam na imię Estera. Uciekłam z pokładu sterowca, kradnąc jeden z lataczy. Chciałam dotrzeć na zachód, za Dymiące Góry. Wrócić do swoich...

– Wolniej. – Wafnir mówi do niej spokojnie, jak do dziecka. Tylko, że ona nie jest dzieckiem. Gnomy pomogły hardatczykom zniszczyć nasz kraj. Zbudowały ten przeklęty statek powietrzny i Popielniki! Obróciły w popiół całe miasta i ich mieszkańców!

– Arjuk? – Głos starego wojownika cuci mnie, wrywa z amoku. – Usiądź obok i odłóż broń.

Oboje patrzą na mnie. Gnomka jest przerażona. Dociera do mnie, że stoję z mieczem w dłoni. Odrzucam go na bok i siadam. Potrzebuję odpoczynku.

– Sterowiec... Masz na myśli hardatiański statek powietrzny? – pyta Wafnir.

– On nie należy do nich! Ukradli go nam! Zbudowaliśmy ten okręt, żeby móc lepiej poznać świat. Przemierzyliśmy na jego pokładzie Dymiące Góry i wtedy napotkaliśmy wasze cywilizacje. Hardatczycy oszukali nas i wzięli w niewolę. Zmusili, żebyśmy przerobili nasz statek na broń, a potem zabili większość załogi. Zostawili tylko kilkoro spośród nas, bo sami nie potrafią go naprawiać i konserwować.

– Czemu uciekałeś? Czemu zostawiłeś tam swoich?

– Nikogo nie zostawiłam. Jestem ostatnia. Pozostali postawili się, odmówili. I za to zginęli. Co miałam do stracenia? Od tygodni przerabiałam potajemnie jeden z lataczy. Czekałam na okazję, żeby uciec...

– Daruj sobie łzawe historie! – Zaciskam pięści tak mocno, że nawet przez rękawice czuję, jak wbijają mi się paznokcie. – Wiesz ilu ludzi zabiły te wasze latacze? Kobiety i dzieci zamieniały się w słupy ognia na moich oczach! Budzę się w nocy, słysząc w głowie ich krzyki!

– Przykro mi...

– To nie wystarczy!

– Arjuk! To nie zwróci im życia! – Wafnir uspokaja mnie po raz kolejny. – Oni odeszli. Martwmy się o tych, którzy zostali.

Przytakuję. Mam już dość tego przesłuchania. Jestem zmęczony.

– Mówiłeś, że chciałeś uciec do swoich? Czy gnomy mogłyby nam pomóc? Może dać nam drugi statek, którym pokonalibyśmy hardatczyków?

– Nie. – Gnomka spuszcza wzrok. – Nie ma więcej sterowców i po tym, co się stało, nigdy już nie powstanie kolejny.

– Daliście latającą broń naszym wrogom. Maszynę, dzięki której zamordowali tysiące, a teraz po prostu umyjecie ręce?

– Mogę tylko powiedzieć jeszcze raz, że jest mi przykro...

– Przykro ci? – Wafnir nie wytrzymuje i chwyta ją za gardło. – Daj mi choć jeden powód, żebym nie zgniótł cię tu i teraz, jak przejrzały owoc!

– Puść... Błagam...

– To nie ma sensu, Wafnir. – Chwytam go za ramię. – Oni też chcą ją zabić. Statek przyleciał tu za nią. Zrzucił bomby, gdy się rozbiła. I zaczynam rozumieć już czemu.

– Chcieli mieć pewność, że zginęła. – Wojownik rozluźnia uścisk i cofa powoli dłonie. – I że nie wpadnie w nasze ręce. Jeszcze chwile temu sam chciałeś wypruć jej serce, Arjuk.

– Tak, ale w ten sposób nie osiągniemy nic, poza zaspokojeniem zemsty. W dodatku wyświadczymy im tylko przysługę. Musi być jakiś sposób, żeby ją wykorzystać.

– Mój latacz... – Gnomka krztusi się i łapczywie chwyta w płuca powietrze. – Jeśli coś z niego zostało, będę mogła wam pomóc...

Spoglądamy na nią obaj. Wafnir bez słowa sięga po wetknięty za pasem nóż.

– Oby, mała gnomko. – Rozcina krępujący ją sznur. – Każdy w tych podziemiach chce twojej śmierci. Jeśli nam nie pomożesz, nie będę ich powstrzymywał.

– Chodź ze mną. – Czekam, aż podniesie się na nogi. Biorę swój miecz i wyprowadzam ją na wąski korytarz. Idzie powoli, bo przez ranę po strzale mocno utyka.

Po chwili docieramy do większej komory. Pod ścianami leżą sienniki, na których tłoczą się brudni, mizernie wyglądający ludzie. Matki tulą dzieci na widok obcej, jakby chciały uchronić swoje pociechy od złego, a mężczyźni patrzą z nienawiścią. Gnomka zatrzymuje się nagle.

– Tędy! Ruszaj się! – Poganiam ją, ale Estera nie może odwrócić wzroku od wynędzniałych twarzy. W końcu ociera nos rękawem i rusza. Noga musi boleć ją potwornie, ale nie uskarża się ani słowem.

Właz jest czymś przywalony. Mocuję się z nim, aż w końcu ustępuje. Wychodzimy z otworu i naszym oczom ukazuje się krajobraz po bombardowaniu. Ziemia porzrywana jest lejami. Ruiny kasztelu to teraz jedynie kupa gruzu, wokół której walają się kamienne bloki. Ostatni fragment zachodniego muru upadł i rozleciał się na kawałki, razem z przylegającymi do niego stajniami.

– Mój latacz! – Estera zaczyna kuśtykać niezdarnie do miejsca, w którym się rozbiła. Fragment kadłuba Popielnika wystaje spomiędzy szarych kamieni i poczerńiałych belek. – Popatrz! Wybuchy nie uszkodziły go bardzo!

– Wygląda, jak kupa złomu – odpowiadam ze złością. – Jeżeli myślisz, że mnie nabierzesz i zdołasz uciec...

– Nie! Potrafię go naprawić! Potrzebuję tylko trochę czasu i rąk do pomocy.

Wybucham nagle niekontrolowanym śmiechem. Stoję w ruinach własnego grodu, na spalonej, zaoranej wybuchami ziemi, a odpowiedzialna za to osoba prosi, żebym jej pomógł.

– Prędeż zdechnę, niż choćby ruszę palcem, żeby ci pomóc!

– Jeśli mi nie pomożesz, umrzesz na pewno.

Klinga miecza zgrzyta złowrogo, gdy wyszarpuję ją z pochwy. Gnomka cofa się przerażona, ale wpada plecami na kamienie.

– Prędeż czy później zginiecie, jeśli nic nie zrobicie! Nie możecie ukrywać się przez cały czas. Mogę wam pomóc!

Ogarnięty złością unoszę miecz i rąbie nim w wystającą, nadpaloną belkę. Ona ma rację, wiem o tym. I to doprowadza mnie do wściekłości.

Po kilku dniach latacz wygląda już o wiele lepiej, ale nie przyznam tego głośno. Wafnir i kilku zwiadowców cały czas pilnują pracującej gnomki. Gdyby spróbowała uciec, natychmiast dostałaby strzałę między łopatki. Jej noga goi się ładnie, ale wciąż lekko utyka.

– Nie sądzę, żeby zdołał odbić się od ziemi. – Trącam stopą odłamany fragment poszycia, żeby podkreślić swoje słowa. – Zmarnowaliśmy tylko czas.

– Taki z ciebie znawca? – Estera wysuwa głowę spod kadłuba. – Podaj mi lepiej klucz osiemnastkę. Nie to! Osiemnastka jest większa! Pokazywałam ci!

– Eh... – Przetrzęsam jej rzeczy i znajduję wreszcie właściwe narzędzie. – One wszystkie wyglądają tak samo!

– Nie są takie same.

– Ten Popielnik to szmelc. Popatrz na niego. Bomba urwała mu dwa skrzydła.

– Śmigła. To są śmigła.

– Naprawdę sądzisz, że uda ci się go naprawić?

– Silnik i mechanika są sprawne. Spadłam, bo z przestrzeloną nogą nie mogłam sterować. Wybuch też nie wyrządził poważnych szkód. Powgniatął trochę poszycie, poruwał kilka części... Nic strasznego. Daj mi jeszcze tydzień, a będzie jak nowy. Wkrętak.

– Co?

– Podaj mi wkrętak. Gruba rączka z cienkim prętem.

– Co dalej? Jak już skończymy go reperować? – Wygrzebuję ze skrzynki coś, co na pierwszy rzut oka przypomina opisywany przedmiot.

– Chyba chciałeś powiedzieć, kiedy ja skończę go reperować?

– Co wtedy? Podfruniemy do sterowca i będziemy do niego strzelać z łuku?

– Poszycie jest za grube. Wasza broń go nie uszkodzi. Mam inny plan. – Estera wyczołguje się spod maszyny. Jej twarz, dłonie i ubranie są pokryte czymś, co wygląda jak sadza. – Latacze są sterowane drogą radiową...

– Porusza nimi magia – przerywam jej w pół słowa.

– To nie jest magia. Zresztą, nieważne. Ten tutaj musiałam specjalnie przerobić, żeby móc kierować nim ręcznie, ale odbiornik i mechanizm sterowania wciąż są na miejscu.

– Czyli... Statek powietrzny wciąż może nim kierować?

– Jeśli na to pozwolę, tak.

– I w jaki sposób to ma nam niby pomóc?

– Załadujemy go ogniem alchemicznym, który zbieraliście z wraków, żeby zasilać swoje lampy. Kiedy sterowiec przyleci i wyśle latacze, nasz wmiesza się między nie i wróci na okręt, a wtedy...

– Wybuchnie... Myślisz, że to będzie takie proste? Musimy jeszcze zwabić tu sterowiec.

– To też przemyślałam.

– Mam nadzieję, że tak jest. Rozejrzyj się i popatrz na miny pilnujących cię zwiadowców. Stoją tu mimo chłodu, pośród ruin swoich domów. Wielu z nich świerzbią palce, żeby naszpikować cię strzałami.

Estera pokiwała tylko i wróciła do pracy. Coś się w niej zmieniło odkąd zaczęła dłubać w tej kupie złomu. Nie widzę już strachu w jej oczach. Wydają się... puste. Nie wiem jeszcze, czy to dobry znak.

Tydzień później latacz jest gotów, jak mówiła. Może nie wygląda tak, jak przed rozbiciem, ale przynajmniej może wznieść się w powietrze.

Ogień rozpaliliśmy o świcie. Nie wiem, co gnomka dodała do ognistego płynu, ale słup czarnego dymu wzbija się aż pod niebiosa. Kiedy używaliśmy go do zasilania lamp, w ogóle się nie kopał.

– Największe ognisko, jakie kiedykolwiek widziałem – Wafnir przerywa ciszę, która zalegała od jakiegoś czasu.

– Jeżeli hardatczycy nie zobaczą tego dymu, to nie wiem, co innego mogłoby ich tu przyciągnąć. Nasi są gotowi?

– Jak tylko sterowiec się zjawi i zniży pułap, rozbiegną się do tuneli. Nie za wcześnie, żeby ci z góry mogli nas dostrzec.

– Tym razem wyślą Popielniki. Są skuteczniejsze od bomb pośród tych ruin.

– Co z gnomką? – Wafnir spogląda na mnie wymownie.

– Pilnuje latacza, a ja będę pilnował jej.

– Wiesz, co masz robić, Arjuk?

– Jeśli coś pójdzie nie tak, nie odejdzie stąd żywa – odpieram bez wahania.

Daleko na północy odzywa się grom.

– Wygląda na to, że już tu lecą. – Odwracam się do Wafnira i ściskam przyjaciela, wiedząc, że więcej możemy się nie zobaczyć. – Uważaj na siebie.

– Ty też, Arjuk. Nadlatują! Na pozycje!

Nie mamy na sobie szarych płaszczy, jakie zwykle nosi się na powierzchni. Nie tym razem. Czuję się nieswojo w kolorowym stroju, ale dzięki temu będziemy lepiej widoczni.

Kolejny grom, tym razem znacznie bliżej.

Sterowiec rozrywa jedną z chmur. Jego ciemny kształt wydaje się przesuwać powoli po niebie, ale to tylko złudzenie. Tak naprawdę pędzi w naszą stronę z zawrotną szybkością.

– Czekajcie na mój sygnał! – krzyczę do rozproszonych między ruinami ludzi.

Od potężnego cielska okrętu odrywają się nagle mniejsze kształty. Spływają po ciemnym niebie, jak liście opadające z drzew. Dopiero po chwili można rozpoznać charakterystyczne kadłuby Popielników. Z każdą sekundą przybliżają się do nas i ich sylwetki stają się coraz wyraźniejsze.

– Teraz! – krzyczę, kiedy są już na tyle blisko, że słyszę klekoczące dźwięki. Nasi ludzie rozbiegają się, pędzą do ukrytych wejść. Ćwiczyliśmy to wiele razy, ale i tak następuje chaos. Nie biegnę za resztą. Ruszam w stronę kasztelu, gdzie powinna czekać gnomka z lataczem.

– Estero! Wypuść go! Wypuść teraz!

Pierwsze popielniki są już nad ziemią. Ich dmuchawy plują ogniem i choć jestem daleko, czuję żar na plecach. Słychać krzyki.

– Estero! – Wybiegam zza kupy gruzów, która kiedyś była ścianą zamku. Widzę, jak gnomka wsiada do latacza i zajmuje miejsce na swoim starym siedzisku. – Estero! Co ty wyprawiasz?

– Przepraszam! Nie ma innego sposobu! – To ostatnie słowa, jakie od niej słyszę, nim maszyna wzbija się do lotu.

Tuż obok mnie wybucha ściana ognia. Odskakuję, ale moje plecy zdążyły się zająć. Zrzucam płonący płaszcz i chowam się pod wystającymi z gruzów belkami. Wszędzie wokół szaleje pożar. Nie słyszę już krzyków. Ludzie albo uciekli, albo zginęli. Patrzę, jak latacz Estery wznosi się coraz wyżej, aż w końcu jest tylko maleńkim punktem na niebie, który zaraz znika w brzuchu potwora.

Nagle oślepia mnie blask, a niebo staje w płomieniach. Z ogromnego kłębu ognia wyłania się dziób sterowca. Oderwał się od reszty statku i sunie ku ziemi. Za nim lecą ogarnięte pożogą szczątki okrętu. Popielniki zaczynają spadać i jeden po drugim roztrzaskują się o twarde gruntu.

Unoszący się nad ruinami dym gryzie mnie w oczy i dopiero po chwili czuję, że po moich policzkach spływają łzy.